


# **Książę Regent. Opowieść o Zdzisławie Lubomirskim – Magdalena Jastrzębska**

Czy wiesz, że dziś przypada 81. rocznica śmierci Zdzisława Lubomirskiego?

Wybitnego członka Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego, a wcześniej prezydenta Warszawy? To z jego rąk Rada Regencyjna przekazała władzę wojskową i polityczną w listopadzie 1918 roku Józefowi Piłsudskiemu. Z tej okazji przypominamy fragment książki „Książę Regent. Opowieść o Zdzisławie Lubomirskim” pióra Magdaleny Jastrzębskiej. 

**Magdalena Jastrzębska**

**„Książę Regent. Opowieść o Zdzisławie Lubomirskim”**

**rok wydania: 2018**

**Wydawnictwo LTW**

Akt z 5 listopada 1916 roku wydany przez cesarzy Niemiec i Austro-Węgier zakładał ustanowienie samodzielnego Królestwa Polskiego. Z ziem zaboru rosyjskiego miała być utworzona monarchia o konstytucyjnym ustroju, połączona w bliżej nieokreślony sposób ze sprzymierzonymi mocarstwami. Nie padło słowo niepodległość, ale akt ten miał ogromne znaczenie. ówczesna prasa nazwała go „Aktem

proklamacji Królestwa Polskiego” 153. Berlin i Wiedeń liczyły oczywiście na wzmocnienie swych wojsk polskim rekrutem, ale nie zamierzały wyrzekać się tych części Polski, które były pod ich zaborem.

Liczono nie tylko na polskiego żołnierza, ale także na osłabienie wpływów rosyjskich w tej części Europy. Dodatkowo w swym planie wojennym Niemcy mieli coś jeszcze. Dążyli do stworzenia tzw. Mitteleuropy, zależnej politycznie, wojskowo i gospodarczo od Niemiec.

Akt został uroczyście odczytany na Zamku Królewskim przez generała-gubernatora niemieckiej strefy okupacyjnej Beselera. Lubomirski był tego słonecznego, jesiennego dnia niezwykle wzruszony i przejęty mającymi nadejść wypadkami. Stanisław Rostworowski, późniejszy adiutant Lubomirskiego, również biorący udział w tej uroczystości, zapisał swe wrażenia: „niemiecka orkiestra wojskowa, niewidoczna w kącie sali, zagrała *Boże coś Polskę* i *Jeszcze Polska nie zginęła*. Nas, Polaków, ścisnęło za gardło dziwne uczucie. Byliśmy świadkami faktu wielkiej wagi, pierwszego etapu ku wolności. Zwracano nam część ojcowizny...”.

Wkrótce miała być powołana Rada Stanu, czyli organ mający zdecydować o przyszłych władzach państwowych. Lubomirski podczas wielu bezsennych nocy analizował, jak się zachować. Poprzeć Radę, czy też jej nie popierać? Obawiał się, że będzie to tylko posłuszne narzędzie w rękach Niemców. Odreagowywał na polowaniach. W połowie listopada „Zdziś wyjeżdża do Kruszyny, by mścić się na bażantach” – zanotowała Maria Lubomirska w swym pamiętniku.

15 listopada w Szwajcarii umiera Henryk Sienkiewicz, a 21 listopada żegna się ze światem długowieczny cesarz Austrii – Franciszek Józef. Lubomirski przygotowywał przemówienie, które miał wygłosić w budynku filharmonii podczas uroczystej akademii pożegnalnej wielkiego polskiego pisarza. Cały dzień pracował nad mową, a ponieważ zawsze występował bez kartki i notatek, uczył się pilnie swego wystąpienia. Maria Lubomirska zanotowała: „zamyka się i deklamuje z taką siłą, że aż szumi w domu. Nie daj Boże drzwi otworzyć...”.

1 grudnia Warszawa mogła oglądać wejście Legionów Polskich. Maria Górska relacjonowała ten dzień: „dziś weszły Legiony z Brygadierem Szeptyckim na czele, ludzi na ulicach było pełno, ale entuzjazmu mało. Krzyczeli wprawdzie *niech żyje polskie wojsko, legiony* ale głównie Piłsudski, jak gdyby on tylko pojęcie ojczyzny w sobie wcielił, a tu nie o niego chodzi, ale o fakt niespodziany opatrnościowy, że Warszawa widzi nareszcie polskiego żołnierza z białym orłem na czapce, że wita bohaterów młode życie oddających za sprawę narodu”.

Tymczasem Lubomirski wahał się, co robić, proponowano mu nawet objęcie funkcji marszałka, ale ostatecznie do Tymczasowej Rady Stanu nie wszedł, choć nieco później zaczął z nią współpracować jako członek Komisji Sejmowo-Konstytucyjnej. Poszukiwano kandydatów na różne stanowiska, ale chętnych wciąż brakowało. Warszawa w żartobliwy sposób podsumowała te zabiegi, a zabawne powiedzonka krążyły z ust do ust. Na przykład mówiono, że „niebezpiecznie teraz wychodzić na ulicę, bo łapią na ministrów”.

12 grudnia 1916 roku przybył do Warszawy Józef Piłsudski, następnego dnia udał się najpierw do Belwederu na spotkanie z Beselerem, a potem do ratusza wraz z rotmistrzem Wieniawą- -Długoszowskim na spotkanie z Lubomirskim. Piłsudski wiedział, z kim ma się w Warszawie spotkać, w tamtych czasach nie było w kraju bardziej znanej osoby niż Lubomirski!

To była długa rozmowa polityków, których wiele dzieliło, ale łączyło jedno – dążenie do odzyskania przez Polskę niepodległości. Nie znali się, więc rozmawiali oględnie i ostrożnie. Wreszcie Piłsudski dosadnie miał Lubomirskiemu powiedzieć: „Proszę księcia, my możemy we dwóch wziąć teraz Polskę za łeb”. Zdzisław powściągliwie odpowiedział: „Panie Komendancie, można wszystko razem zrobić, ale na współpracę trzeba mieć do siebie bezwzględne zaufanie. Pan do mnie może ma zaufanie, ale przekonanie moje, że pan uchodzi za socjalistę, mnie powstrzymuje”.

Spotkanie to podsumował także Stanisław Dzierzbicki, pisząc w swym pamiętniku, że ponieważ Piłsudski dąży do dyktatury, „pragnie przeto porozumieć się z Lubomirskim, który obok niego jest drugim najpopularniejszym człowiekiem. We dwóch mogliby oni pokusić się o rząd moralny krajem, a ponieważ Zdzisław Lubomirski jest człowiekiem chwiejnym, więc faktycznie władza skupiłaby się w ręku Piłsudskiego”.

Żona Zdzisława analizowała wszystkie te wydarzenia z charakterystyczną dla siebie spostrzegawczością i umiejętnością wyciągania wniosków. Zdawała sobie sprawę, że to fala dziejowa pozwoliła jej mężowi zaistnieć w historii. Przypomniała sobie

jednocześnie teścia Jana Tadeusza Lubomirskiego – jakże surowego przez wszystkie lata dla swego lekkomyślnego syna. Cóż powiedziałyby teraz? Jak skomentowałyby pracę i sukces syna, po którym nie spodziewał się takiej aktywności?

Maria zauważyła, że właśnie teraz w Zdzisławie „odzywają się zasługi niepospolitego Ojca, co w synu niegdyś marnotrawnym własnej krwi nie odgadł i z tamtego świata wyciąga może ku niemu za późno zdumione ręce...”.

Popularność księcia w tym czasie była nieprawdopodobna. Stanisław Mackiewicz przytaczał po latach wspomnienie mroźnej zimy początków 1917 roku. Jechał oszronionym tramwajem z placu Zbawiciela na uniwersytet. Wagon był prawie pusty. Na kolejnym przystanku wszedł do tramwaju Piłsudski z dwoma oficerami, byli ubrani w grube szynele z futrzanymi kołnierzami. Mackiewicz, poruszony obecnością komendanta, zwrócił uwagę konduktorowi, że jedzie z nimi Piłsudski. Jednak „konduktorowi nazwisko to nic nie mówiło. Wtedy Warszawę emocjonował Zdzisław Lubomirski”.

W maju 1917 roku tłum głodnych i upokorzonych coraz trudniejszą sytuacją życiową najbiedniejszych warszawiaków czekał u bram Frascati na księcia. W tym czasie Maria Lubomirska z córką Julią spędzały czas w ogrodzie. Do księżnej udał się stróż Józef, powiadamiając o zaistniałej sytuacji, przyjechał też naczelnik milicji. Księżna kazała natychmiast wzywać męża urzędującego jeszcze w ratuszu. Wedle relacji Lubomirskiej tłum liczył około kilkuset osób, z kolei Maria Górska wspomina nawet o pięciu tysiącach, chyba jednak znacznie przesadzonych. Lubomirski, ostrzeżony przez milicję o

możliwym niebezpieczeństwie, wsiadł w samochód i spotkał się z warszawiakami. Górską relacjonowała, że tłum ludzi „zażądał odpowiedzi, kto krajem rządzi, Niemcy czy niepodległa Polska i kto ich głodzi. Lubomirski wyskoczył z samochodu, wszedł między lud, obiecał że zrobi wszystko możliwe dla polepszenia ich losu, ujął biedaków serdecznymi słowami i zachowaniem, którzy też rozeszli się spokojnie wołając *niech żyje nasz prezydent*. Tak to w Polsce uprzejmością i odwagą zdobywa się miłość i wpływ wywiera”.

Maria Lubomirska notowała, że Zdzisław wrócił do domu po tym spotkaniu niezwykle wzruszony i bardzo przejęty. Następnego dnia udał się od razu do Beselera i odmalował mu dramatyczną sytuację żywnościową najbiedniejszych mieszkańców miasta. Gubernator zgodził się na to, by wartownicy na rogatekach zaczęli wpuszczać do miasta – co do tej pory było zakazane – ludzi ze wsi, którzy pieszo przychodzili, by sprzedać swoje produkty.

Lubomirski wziął miesięczny urlop, chcąc od wszystkiego odpocząć. W planach miał łowy, ale zachorował na grypę, pozostał więc w Warszawie, gdzie spędzał czas w Klubie Myśliwskim. Maria nalegała, by wyjechali do któregoś z europejskich uzdrowisk. Chciała oderwać męża, rozdrażnionego i przemęczonego, od spraw w Warszawie. Wyjechali w lipcu 1917 do Marienbadu. Spacerowali, leniuchowali na balkonie, rozkoszowali się widokami i czystym powietrzem. Tak jakby nie było wcale wojny, jakby czas się cofnął... Maria pisała do ciotki Tarnowskiej: „bardzo nam tu dobrze w Marienbadzie, hotel miły, leśne powietrze i piękne spacerunki, ładna pogoda i kuchnia stosunkowo suta, jeno drożyzna okropna. Jesteśmy jak ptaki wypuszczone z klatki, ucieszone wolnością.

Tu za górami, za lasami jedyną spójnią między nami a naprężeniem wszechświata są gazety. Zdziś czyta ich stosy, poczem uczy się grać w golfa”.

Tymczasem Józef Piłsudski 2 lipca wystąpił z Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu. Ułożona rota przysięgi dla polskich oddziałów zakładała dotrzymanie braterstwa broni z wojskami Niemiec i Austro-Węgier. Sytuacja na frontach zaczęła się jednak zmieniać, przegrana Niemiec stawała się coraz bardziej realna i Piłsudski zalecił legionistom przysięgi nie składać. Żołnierze I i III Brygady uchylili się więc od tego zobowiązania. W konsekwencji niepokorni legioniści zostali internowani, a sam Piłsudski 22 lipca aresztowany. Ostatecznie został osadzony w twierdzy wojskowej w Magdeburgu. Kryzys związany z kwestią przysięgi zaważył na rozwiązaniu Tymczasowej Rady Stanu, w sierpniu jej członkowie złożyli mandaty.

Zaistniała sytuacja, trudna i niestabilna, spowodowała, że cesarze Niemiec i Austro-Węgier powołali do życia specjalnym patentem z 12 września 1917 roku Radę Regencyjną. Najwyższa władza w Królestwie Polskim oddana została trzyosobowej Radzie, która miała zastąpić przyszłego monarchę. Najdłużej trwały targi o jej skład osobowy. Ostatecznie weszli do niej arcybiskup Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i ziemianin Józef Ostrowski.

Zdzisław jako jeden z regentów otrzymał wówczas najwyższą godność w swej karierze politycznej. Godność ta jednak bardzo mu ciążyła. Do Rady Regencyjnej szedł bardzo niechętnie, „wahał się długo i walczył ze sobą, jak Sienkiewiczowski Jarema, między ambicją, która pchała go do

popularnej zawsze roli demagogicznego oporu, a obowiązkiem znalezienia pozytywnego rozwiązania sprawy polskiej wobec kończącej się już wojny” – pisał Jan Gawroński.

Wejście Lubomirskiego do Rady Regencyjnej zaskoczyło wielu jego sympatyków, dziwiono się, że ten, który nie wszedł do Tymczasowej Rady Stanu, który był symbolem oporu przeciw Niemcom, zdecydował się przyjąć z ich rąk taką godność. Świadoma – chyba jak nikt inny – rozterek Lubomirskiego była żona. Maria w swych wojennych wspomnieniach pisała, że Zdzisław wiedział, że gdyby odrzucił propozycje niemieckie, wówczas nastalaby dyktatura wojskowa i zaostrzenie warunków okupacji kraju. „Zdziś tak sprawę stawia, że choć budujemy z Niemcami, kwestia polska otwarta jest do Kongresu, gdy wszystkie strony walczące będą miały głos”.

Słowo „budujemy” było tu kluczowe, Lubomirski cały czas uważał, że pracować należy, nie można odpuszczać, przerywać, nawet wówczas gdy miało to oznaczać współpracę z Niemcami. Postrzegał to jako kolejny krok ku przyszłej państwowości, krok na drodze, którą zapewne pójdą już inni... W poczuciu końca wojny, napiętej sytuacji w Rosji, należało według Lubomirskiego budować zaczątki państwa tak, jak to tylko było możliwe. Tu i teraz, w tych okolicznościach, jakie były akurat dane.

„Gdybym był egoistą – powtarza Zdziś – to niewątpliwie usunąłbym się obecnie, czekając końca wojny (lub trwałbym na stanowisku prezydenta miasta), a to tym bardziej, że wychodzę z dotychczasowej rezerwy i

wchodzę w kompromis z państwami centralnymi BEZ PRZEŚWIADCZENIA o ICH ZWYCIĘSTWIE” – zanotowała słowa męża Maria Lubomirska.

Lubomirski bardzo przeżywał ten czas, nie spał nocami, wciąż dręczyły go różne pytania. Im bliżej było intromisji, tym gorszy miał nastrój, ogarnął go skrajny pesymizm, powtarzał bliskim, że ta jego regentura będzie po prostu tragikomedią. Jego siostrzeniec – Jan Gawroński – określił nastroje wuja jako ciągłe hamletowskie wahanie. Już dużo wcześniej, bo w maju, gdy pojawiały się głosy o potrzebie wysunięcia kandydatury regenta, padało nazwisko Lubomirskiego. Maria Górska, której syn Ludwik współpracował blisko ze Zdzisławem, napisała już wówczas, że księżę „na szczęście za dużo ma rozumu i ambicji żeby się na śmieszna rolę figuranta zgodzić”. 27 października dokonana się na Zamku Królewskim, gdzie urzędowali regenci, uroczysta intromisja, a więc oficjalne wprowadzenie na urząd całej Rady Regencyjnej.

Powołany Komitet Uroczystości Wprowadzenia Rady Regencyjnej zajął się przygotowaniem obchodów. Zamawiano białe i czerwone materiały na flagi, sukno pąsowe, wykonano sztandar z orłem polskim, specjalną dekorację sali kolumnowej na zamku, a schody wyłożono dywanami. Zamówiono kryształowe wazony, róże, 200 odbitek pamiątkowych fotografii.

27 października 1917 roku odbyły się uroczystości intromisji Rady Regencyjnej najpierw w katedrze, potem na zamku. O dziesiątej rano zbrali się w katedrze dygnitarze, konsulowie, reprezentanci różnych stronnictw, oficerowie, generałowie-gubernatorzy, wojskowi oraz trzech regentów, dla których na podwyższeniu przygotowano trzy

rzeźbione krzesła. Maria Lubomirska zanotowała w swych wspomnieniach, że „Zdziś (...) wyglądał jak człowiek, który idzie na ścieżce, po raz pierwszy w życiu był podobny do ojca, twarz miał zoraną brzdami, starą, siedemdziesięcioletnią, ruchy manekina”.

Regenci powtórzyli rotę przysięgi, iż sprawować będą „rządy dla dobra powszechnego ugruntowania potęgi, niepodległości, sławy, wolności i szczęścia ojczyzny polskiej, dla zachowania spokoju i zgody między obywatelami kraju”. Ceremonia w katedrze miała charakter urzędowy, a jej druga część, która odbyła się na zamku królewskim – narodowy.

Uroczystość była podniosła, świetnie zorganizowana i – jak zaświadcza Maria Lubomirska w swych pamiętnikach – wzruszająco piękna. Śpiewano „Boże coś Polskę...” i „Mazurka Dąbrowskiego”, były wiwaty, salwy armatnie, powitanie chlebem i solą, przemówienia. „Regenci, duchowieństwo, Legiony Polskie, cały barwny pochód, kołyszący się pod jasnym niebem przy dźwiękach narodowej pieśni tworzył jakby żywy, drgający most pomiędzy dawnymi laty a nadzieją przyszłości, budził zamilkłe tony, wypędzał złe duchy” – wspominała żona Zdzisława.

**Jest to fragment książki „Książę Regent. Opowieść o Zdzisławie Lubomirskim”**